



## PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

**Prenumerata w Warszawie:**  
 W wszystkich księgarniach i kantorach pism periodycznych  
 po cenie: rocznie rsr. 7 kop. 20, półrocznie rsr. 3 kop. 60,  
 kwartalnie rsr. 1 kop. 80, miesięcznie kop. 60.  
**Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:**  
 kwartalnie rsr. 2 kop. 50, półrocznie rsr. 5, rocznie rsr. 10.

**Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBERG.**  
 Ekspedycya główna w księgarni wydawcy  
 Ulica Nowy-Swiat Nr 1250 (nowy 55).

W Cesarstwie Austryackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta  
 kwartalnie flor. 3, na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.  
 W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75, na pro-  
 wincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.  
 W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół., kwartalnie tal. pr. 1  
 sgr. 20.

### DZIEJE PIOSENKI.

Narodziła się w duszy poety,  
 W łez mroku,  
 Wywołana miłością kobiety,  
 Jako tęcza na marzeń obłoku;  
 Śpiwnych tonów odziana sukienką,  
 Drgnieniem serca dobyta z nicości—  
 Przyszła na świat naiwną piosenką  
 Miłości.

Upajała melodyjnym tchnieniem  
 Pierś młodą;  
 I nad starców rozwianem marzeniem  
 Słodkich wspomnień jaśniała pogoda;  
 Wzgórza brzmiały jej rozkosznym echem;  
 Przedrzeźniali ją Faunowie leśni;  
 Płocze Nimfy wtórzyły z uśmiechem—  
 Tej pieśni.

Przeszły wieki świeżości młodzieńczej  
 I kraszy;  
 Nikt się teraz różami nie wieńczy,  
 Wchodząc z troską codzienną w zapasy;  
 Nie słuchają już Nimfy na łące  
 I nie wtórzają piosnkom w wieczór letni:  
 Zagłuszyły dziś burze huczące  
 Głos fletni.

Jednak pieśń ta, starodawna, grecka,  
 Wciąż wraca,

Nieśmiertelnym swym uśmiechem dziecka  
 Chmurne niebo nad ziemią wyłaca;  
 Wraca z każdą serce i wieków wiosną,  
 Pełna dziwnej, niespożytej siły,  
 I roztacza w koło woń miłosną—  
 Z mogiły.

El....y.

### POGA WĘDKA.

Gdybyśmy chcieli wiernie i chronologicznie z kronikarskich notatek wyjmować i ustawić ważne daty i zdarzenia, to należałoby może rozpocząć dzisiejszą „Pogawędkę” nieco spóźnioną wzmianką o dniu zadusznym, — ale na ten temat tyle już zużyto artykułów prozą i wierszem, tyle już razy obowiązkowo nastrojano lutnię do łzawych pieśni i do smutnych waryacji na motyw: „*Sic transit gloria mundi*”, że się mimowoli powtarzają własne lub zapamiętane warianty, i uczuwa się ochotę spażować raz pomimo tego, iż w całej filozofii życia śmierć jest jednym z najmniej rozwiązanych zagadnień i przedstawia obfity materiał do poważniejszej rozprawy.

Zestawiając ze sobą kolejno dziennikarskie dysertacje o dniu zadusznym, znajdziemy obok stereotypowych westchnień i reflexyj, w mniej lub więcej poetyczną formę przybranych, — jeden charakterystyczny objaw, a to mianowicie: utyskiwanie na coraz większe zobojętnienie żywych dla umarłych, na coraz bardziej zmniejszającą się cechę moralną tego „święta cmentarzy”.

Nie rościmy sobie wcale pretensyi do oryginalności tego spostrzeżenia, a co smutniej — możemy przytoczyć na poparcie zdanie kolegi z *Tygodnika*

*Illustrowanego*, który nas niejako uprzedził w wypowiedzeniu kilku przykrych, ale, niestety, słusznych, uwag.

„Uroczystość *Zaduszek*, powiada on, nie była uroczystą” i słusznie sądzi, utrzymując, że w obejściu się młodzieży, w bezceremonialnem postępowaniu starszych, i lekceważeniu grobów nawet, przebija się upadek tych pojęć moralnych, które niedawno jeszcze stawiały pewne rzeczy ponad codzienną bezbarwnością życia. Czy *dzisiaj* jest tak ciężkiem, czy *jutro* tak odartem z uroków; czy serca tak wyziębione, a umysły zbrudzone? — dość na tem, że lekceważenie wszystkiego jest cechą wybitną uosobień ludzkich, które gorączkują się tylko wobec... realnego znaczenia korzyści.

Piękne, pełne chrześcijańskiej allegoryi, święto umarłych, staje się powoli zwyczajem odartym z uroku, spacerem na groby, wycieczką na cmentarz poniewierany stopą lekkomyślnego tłumu, w którego sercu najczęściej — „myśl nie trwa nawet i godzinę”...

Nie stosujemy tego do wszystkich, ale do znacznej większości, dla której „życie jest bez jutra, jutro bez znaczenia, grób bez treści”. Lepiejby może było w takie dni pozamykać bramy cmentarza, niż przepuszczać przez nie cynicznych filozofów życia, co z głową pustą i sercem zimnem przechodzą tędy, aby zaszczerpać zwątpienie w resztkę tych, którzy w każdej mogile widzą jeszcze furę do innego świata i dla umarłych mają cześć, jaka się wyzwolonym duchom przynależy.

Bolesnym jest widok zapomnianej mogiły, opuszczonej jak pustka, nad którą niczyja już pamięć nie czuwa; ale stokroć przykrzej patrzeć, że ją znieważa lekkomyślność żywych.

Opuszczony, samotny grób ma w sobie coś z tej tajemniczej grozy, z tej cichej powagi duchów zaklętych na milczenie, ma ten urok tęsknej melancholii, która do łez pobudza. Przekonaliśmy się, niedawno temu, sami, zwiedzając groby Mickiewicza, Słowackiego, Tuńskiej i inne na gościnnej ziemi









uwagę wyteżoną. Uwaga na wydawane lekcye przez innych jest nakazaną dziecku bardzo właściwie i to nie tylko wskutek tego, że rzecz z konieczności już w pamięć mu się wbija: każde oddzielne lekcye owej wydanie jest jej opowieścią, nieco różną; z każdą łączą się pewne uwagi nauczycielskie, zatem uważne przysłuchanie się temu przynosi umysłowi dziecka korzyść głębszego, doskonalszego i wszechstronniejszego lekcji pojęcia; ale to faktu zgoła nie zmienia, że umysł młody, najmniej do nateżonej uwagi podatny, trwać musi w tem nateżeniu godzin tyle. Czy obecny rozkład czasu nauki nie jest więcej obmyślanym dla dogodności nauczycieli, niżeli dzieci? Tak-by się zdawało; przecież dla nauczycielki domowej, której nikt nie luzuje, która, podobnie jak dziecko, strudzić się musi ciężko nieprzerwaną pracą godzin tylu, nie przedstawia on korzyści żadnej, a gdyby przedstawiał ją nawet, to już korzyść ta nie może, nie powinna stać na pierwszym rzeczy planie, bo względy jej są podrzędne w stosunku do względów, jakie przemawiają za dzieckiem: za jego zdrowiem, za przyszłością jego władz umysłowych. Więc też stanowczo dawny rozkład czasu w domowej edukacji utrzymanym być powinien, a kładę pewny nacisk na to, aby został utrzymany i w szczególe zaczynania lekcji o ósmej rano. To wdraża dzieci do rannego wstawania, co gdy nawykniemy się staje, ubogacza człowieka, jakgdyby nową zdolnością do pracy, której godziny mnożyć się zdaje. Powiedziałabym, że nie ma prawdziwie pracowitego człowieka, któryby rano nie wstawał; jeszcze uczony badacz, lub sztukmistrz, muzyk, poeta, pisarz, może dla względów różnych, z naturą zajęcia jego złączonych, przełożyć godziny pracy nocne nad porankowe, ale nigdy ktoś pracujący w zawodach więcej realnych, i ztąd dla kobiety, która ma być matką, gospodynią domu, rano wstawanie jest podstawą dobrego spełniania obowiązków swoich. W moralnym i materialnym znaczeniu tego słowa zasypia je ta, która rano wstać nie umie i dla kobiety szczególnie istnieje przysłowie: *Kto rano wstaje, temu Pan Bóg daje*. Dostaje ona od godzin porannych krzepkość sił, świeżość, która się zdaje wiać wtedy z powietrzem; dostaje w tem jakgdyby natchnienie do pracy, która w tych tylko godzinach tak załatwiona być może, aby w domu panował ład i porządek należyty, aby gospodarowała w nim pani a nie sługi, a dzieciątka drobne—te zawsze ranne ptaszki—dostawały rzeczywiście, nigdy niezaniebującą się, opiekę macierzyńskiej miłości, macierzyńskiej troskliwości. A i to do pogardzenia nie jest, że nawykniemy, które rano sen nam z oczu spędza, nie dopuszcza długiego po nocach czuwania. Może to wprawdzie skrócić o wiele bankiet życia, wesołe jego karnawałowanie, może mu ująć chwil niemało; ale nie mogę znaleźć w sercu mojem żalu nad tą stratą i powtarzam, że z tego względu właśnie rzecz nie jest do pogardzenia a przeciwnie do szacowania jej bardzo wysoko. Według mego zdania rano wstawanie mieści się na pierwszym miejscu między środkami, wiodącymi do doskonałego zadosyćczynienia rodzinnym zobowiązaniom kobiety i ztąd—to wychowanie powinno je jej dać—powinno wdrażać do niego dziewczętkę od najmłodszych lat dzieciństwa. W logicznym rzeczy następstwie wypada z tego, że należy i guwernantce wstawać wcześniej, że należy jej być gotową do rozpoczęcia lekcji o ósmej godzinie rano.

Ponieważ przebywa z dziećmi pod dachem jednym, nie naraża jej to na wychodzenie z domu o chwili dnia tak wczesnej, aby zimą czy jesienią przykrem lub szkodliwym stać się to mogło. Więc najdelikatniejszy organizm cierpieć nie będzie na dno wianu się rannem, które ze względu na barwiancie niemal za dziecko, trzeba poczytać guczne wychowanie wymaga, aby dziecko, wstając rano, chodźło wskutek tego spać wcześniej i wędług praw natury zasypiało wkrótce sam posilnym i zdrowym. Moralny organizm nie mniej się o porannej zaraz chwili stawiać do pracy, gdy mu się ta pilność wczesna nawykniemy stanie i z pojęciem powinności każdego dnia w umyśle łączy.

Przecież dla guwernantki, która jest nie tylko nauczycielką ale i wychowawczynią, godziny pra-

cy rachować się nie mogą jedynie na godziny zajęte nauką, na godziny, które za stołem szkolnym przepędza. Pracuje ona cały ten czas, który z dziećmi przebywa: czuwa nad nimi, na zachowanie się ich uwagę zwraca, jest odpowiedzialną za ich bezpieczeństwo fizyczne i moralne. Pracuje, powtarzam, pracuje tak samo jak przy wykładzie lekcji, bo nie używa swobody, nie zrzuca z bark obowiązkowych zawodu swego ciężarów nie pozbywa się z umysłu troski, złączonej z zawodu tego powinnościami. Że przecież nikt bez szkody wciąż pracować nie może, że dziś nawet najprostszy robotnik fabryczny to sobie waruje, aby życie jego miało godziny wolne i dla guwernantki, której tak wczesnie do pracy wstawać każemy, pomyśleć o tem należy. Ekonomista wraz z moralistą przemysłowcem to już dla drużyny fabrycznej. Jeden doszedł do przekonania, że będzie wtedy „lepszy robotnik“, drugi, że będzie wtedy „lepszy człowiek“, gdy uwzględni się w pracującym ludzkie jego potrzeby, potrzeby jego ducha, umysłu i serca, które tak samo jak organizm fizyczny żądają zadowolenia—odżywiania się przez właściwe do tego środki. Guwernantka więcej niż wszelki inny pracownik wymagać tego może, wymagać tego powinna, bo u niej właśnie władze duchowe pracują i więcej od fizycznych się nużą. Należy jej się kilka godzin dziennie najzupełniejszej swobody, czasu najzupełniej rozrządzanego, zostawionego jej na użytek dowolny. Czy chce go w domu lub na samotnej przechadźce w odosobnieniu przepędzić, czy obrócić na swobodne obcowanie z resztą rodziny i domowników, to już jej rzecz: chodzi tu głównie o to, aby wtedy tak była wolną od zajęć powołania swego, jak wolnym jest ten, który już dział powszedniej pracy swej odrobił i odpoczywa po niej spokojnie. Wróci do niej nazajutrz wypoczęty i zadowolony, więc doskonalej do niej zdolny i można ręczyć, że odpracuje zdwojonymi siłami te chwile, które tylko krótkowidz za stracone dla pracy uważa. Zostawiając też na boku ludzkość, zostawiając na boku wszelkie uczucie dobroci i sprawiedliwości, rodzice dla własnego swego interesu nie powinni stawiać temu oporu, aby guwernantka jakąś część dnia wcale dziećmi zajęta nie była. Wspomniało się już wyżej, że umysł jej dojrzały, z dojrzałymi więc poglądami na świat i życie, męczy się i cofa niejako w tył przez przedłużone obcowanie z istotami małoletnimi; potrzeba mu więc nieodzownie, aby odzyskiwał codzien, choć na czas jakiś, poziom swój naturalny, bo inaczej niżanie się ciągle do pojęcia dziecinnego mogłoby się stać nieznacznie stałem obniżeniem własnej siły pojmowania, własnej inteligencji zniżeniem. Z jakim kto przestaje, takim się staje; guwernantka może zmaleć i zmaleje niewątpliwie, jeżeli zawód jej tak ją w kleszcze pochwyti, że równowaga nie będzie mogła zostać przywróconą przez tę gimnastykę umysłową, która nakazuje po schyleniu prostować się, po zejściu w dół dźwigać się ku górze. Mam tu na myśli czytanie, pracę umysłową guwernantki nad sobą, która-by była oddziaływaniem przeciw koniecznemu pochłanianiu jej przez ujemne strony nauczycielskiego powołania. Co przez obcowanie z niższymi niż ona umysłami straci, niech odzyska w towarzystwie umysłów wyższych. — w towarzystwie, które jej zapewni książka. Czytać coś więcej, niż pisma peryodyczne, niż utwory literatury lekkiej, jest tak obowiązkiem, jak interesem guwernantki. Jej nie wolno, nie już cofać się, ale stać na miejscu, bo przez to samo zacošana zostanie. Nauka czyni dziś postępy niesłychanie szybkie; choć nie wszystko na postępie zaliczonym zostanie, co ustawicznie tłum pracowników naukowych do przybytku wiedzy wnosi, co w nowych systematach jako nowe prawa nauki stawia, ale ruch jest ciągły—ruch, starcie, z którego wyrzyskuje się prawda—coś prawdy, postęp tworzącej. Otóż guwernantka powinna być obznajmioną ogólnie z tym ruchem całym, a w kierunkach pewnych, obowiązujących ją jako nauczycielkę i wychowawczynią, powinna znać go do głębi, stać z nim naukowo na równi. Jeżeli bym pragnęła, aby każda kobieta przejęła się tym axiomatem starożytnych: „nie ludzkiego obcem mi nie jest...“ to dla guwernantki uważam to za powinność i konieczność: inaczej nigdy poglądy jej dostatecznie rozległe nie będą; inaczej musi być umysł-

wo ograniczoną, a w lat kilka po skończeniu nauk musi pozostać w tyle za temi, które naprzód idą: za wszystkimi towarzyszkami młodszymi, które ją ubiegają już przez to samo, że świeże zdobycze nauki są im wiadome, gdy ona w niewiadomości, więc względnie w ciemności umysłowej, pozostaje. Aby tak się nie stało, aby każdy rok upływający nie ujmował jej wartości, jako osobie naukowej, guwernantka wciąż uczyć się musi, wciąż pracować nad sobą: z jednej strony zdobycze wieku sobie przyswajając, z drugiej naprawiać szkody, jakie czas jej własnej osobistości czyni. Czas przynosi jej razem i nabytki znaczenia wielkiego: doświadczenie pedagogiczne, przetrwanie tego w praktyce, czego ją w teorii pedagogika nauczyła, aby przecież posiadała możność korzystania z tych zarobków życiowych, potrzeba jej mieć umysł zdolny je pochwyć, pojąć i zastosować; potrzeba, aby umysł ten był wciąż czynny i odpowiednio podniosły. Na to przecież należy jej, jak powtórzę:

1) pracować nad sobą i iść za postępem, jaki ludzkość w pochodzie swym naprzód czyni,

2) nie być nad miarę zmęczoną, zapracowaną, wyczerpniętą aż do osłabnięcia, zniżenia się umysłowego.

Zatem guwernantku powinna mieć dość czasu wolnego: najpierw na swobodny umysłu wypoczynek; następnie na tę pracę naukową, którą ją intelektualnie odświeżała i pozwalała na coraz nowe wiedzy naukowej rozszerzanie. Guwernantka ma do tego prawo najwyższe i nieodwołalne; rodzicom dzieci, których jest nauczycielką i wychowawczynią, nie godzi się żądać od niej ustępstw w tym kierunku, jak nie godzi się nikomu na dobro bliźniego swego nastawać, jak nie godzi się naprzykład ludźmi kupeczyć i na niewolników swoich ich nabywać. A jest spychaniem w niewolnictwo takie postępowanie z osobą nauczycielską, o którym jeszcze Karpiński smutnie powiedział:

—Wiem, że mi coś dawano,

A za to wszystek czas mój kupić chciano...

„Wszystkiego czasu“ ludzkiego niewolno kupować, bo niewolno jest kupować człowieka. Istoty biedne, które się temu dla chleba poddają, są w moich oczach tak nieszczęśliwie poniżone, że niech nikt nie spodziewa się od nich, aby w szerszym tego słowa znaczeniu dobrymi nauczycielkami, dobrymi wychowawczyniami być mogły. Klin wybija się tu klinem: żąda się zawiele, a otrzymuje zamale: nie otrzymuje się niemal nic w stosunku do tego, jakim powinno być nauczanie i wychowywanie, pojęte rozumnie i podniosłe.

(Dokończenie nastąpi).

## NOWINY PARYZKIE.

Wystawa powszechna.

IV.

Paryż 12 Listopada 1878 r.

Po sześciu z górą miesiącach nakoniec Wystawa Powszechna Paryzka zamknięta została d. 10 b. m. Na tej olbrzymiej scenie popisu wszystkich narodów tyleśmy dziwnych i ciekawych oglądali rzeczy, iż na opisanie ich, wszystkie nawet dzienniki świata wystarczyć-by nie mogły, i w rzeczy samej nie wystarczyły. Korrespondent więc *Bluszczy*, widząc niepodobieństwo objęcia wszystkiego, musiał się rzucić, na pewne tylko, najjaśniejsze, punkta Wystawy, i niektórych, ważniejszych jedynie, dotknąć przedmiotów.

Żyjemy tak pośpiesznie w naszych czasach, spożywamy tak gwałtownie wszystko, cokolwiek nam zastawia sturamienna praca codzienna, że zwracać się wstecz niewolno nikomu, a tembardziej korrespondentowi dziennika. Zapuszczamy więc i naszą koryntę, z tem zastrzeżeniem przecież, że dwa ostatnie jeszcze listy poświęcimy wspomnieniom dwóch ważnych przedmiotów z zamkniętej Wy-

stawy. Będzie to pożegnanie nasze—i jakby dług wdzięczności wypłacony temu, co nas tak mocno zajmowało i tak głęboko poruszało w ciągu tych sześciu miesięcy. Ostatnie to nasze wspomnienie poświęcimy *książkom i kobiecie*. A kładąc na tem wspomnieniu pewien nacisk naszej wdzięczności dla narodu, któremu winni jesteśmy tyle—któremu winniśmy urządzenie tej ostatniej Wystawy—powiemy treściwie: co nam zostało z wrażeń o *wydawcach i księgarzach francuzkich i o kobietach francuzkich*, na Wystawie powszechnej. Przez grzeszność należałoby zacząć od płci pięknej; ale w tej chwili braknie mi jeszcze niektórych szczegółów, których nie mogę otrzymać przed upływem kilku dni: zmuszony więc jestem, dać chwilowe pierwszeństwo brzydkiej połowie rodzaju ludzkiego—i zacząć od wydawców i książek.

Kto dzisiaj nie jest bibliofilem, choć trochę? Nigdy może, w żadnym wieku i w żadnym czasie, nie poszukiwano i nie kupowano tak pilnie i obficie jak dzisiaj, wszystkich tych ksiąg i książeczek, drukowanych w niewielkiej liczbie egzemplarzy starożytnymi czeionkami, na hollenderskim lub chińskim papierze, i ozdobionych sztychami lub winietami, umieszczonymi w textcie. I niema tu żadnego powodu do nagany tak szlachetnej mody, z warunkiem jedynie, aby literacka wartość dzieła nie była w sprzeczności z doskonałością i kosztem wydania. Położywszy taki warunek, zobaczymy: czemu się odznaczyli szczególnie francuzcy wydawcy na ostatniej Wystawie?

Pomiędzy rozmaitemi grupami, które składały Wystawę Powszechną Paryżką w 1878 r., niema, według mnie, ani jednej, któraby miała większe znaczenie, nad galerją sztuk wyzwolonych, a mianowicie klasę IX-tą, nietylko ze względu na ważność przemysłową i handlową, ale jeszcze, i nade wszystko, ze względu na ów przeważny wpływ, jaki drukarstwo i księgarstwo wywarły, i coraz bardziej wywierają, na smak, wykształcenie i oświecenie publiczne.

Można powiedzieć z pewnością, że na Wystawie Powszechnej Paryżkiej znalazła się cała historia książki. I tak, w pałacu trokaderskim, widzieliśmy: illuminiowane i ozdobne bogate rękopisma; wydania pierwotne, drukowane gockimi literami, o dziwnych pokręconych, kącistych i śpiczastych formach; pierwsze dzieła francuzkich drukarzy, o krągłych i spłaszczonych literach, zwanych tutaj *batarides*; książki oznaczone kotwicą Aldów, mniej widzialne na pozór, ze względu na ich druk kursywowi, *italiką* zwany—litery są może trochę za cienkie, za słabe dla oka, ale książki mają wartość z powodu wyszukanej poprawności textu i piękności papieru; widzieliśmy dalej, pilnie poszukiwane egzemplarze z powodu typograficznej wartości i doskonałego zachowania pięknych marginesów, z kwiatkiem Elzewirów, i nakoniec nieszacowane książki wyszłe z pod prassy ich spadkobierców i współzawodników. Na Polu zaś Marsowem, mogliśmy się przypatrzeć z bliska arcydziełom współczesnych wydawców, peryodycznym wydaniom, ilustrowanym książkom wszelkiego rodzaju, służącym do rozpowszechniania wiedzy, oraz dziełom naukowym i całej tej produkcji naszego czasu, tak rozmaitej i nadzwyczajnej w swoich nieskończonych objawach.

Ale książki wystawione na widok publiczny w szafach pałacu trokaderskiego, są w ogólności zamknięte i nietykalne. Nie potrzeba się temu dziwić: należą one do amatorów,—a prawdziwy bibliofil nie pożycza nigdy swych książek nikomu, a nawet nie pozwala dotykać się do nich, chyba wybranym, i ma w tem wielką słuszność; tyle bowiem na świecie jest rąk niezgrabnych, niestarannych, a nawet, powiadają niektórzy—niepewnych, że lepiej książkę za szkłem niż bez niego. Niemożąc wertować tych książek, zauważmy przecież, że jako wytwarzanie wydawnicze, stoją one bezporównania wyżej, niż największa doskonałość dzisiejsza. Rzecz to niezaprzeczona, że od pierwszego już wystąpienia starzy drukarze dościgli najwyższej doskonałości. My możemy czasem dorównać im, ale przejść ich nie potrafimy nigdy. Od czegoż to zależy? Oto potrzeba wyznać, że tu, jak w dziwnych wyrobach Japonii, wszystko zależy od ręki. Jest ona zapewne mniej szybką i mniej wprawną od maszyny; ma swoje niedostatki i nieudolno-

ści: ale też jest osobistą i wyłączną; ma w sobie to coś, co się wiąże ściśle z miarą i życiem.

Jest to tak wielka prawda, ta doskonałość starych drukarzy, że nowożytni wydawcy, ci, którzy poczytują sobie za zaszczyt, oprócz bieżących druków, ogłaszanych pośpiesznie, ukazać na świat od czasu do czasu jakieś arcydzieło typograficzne, nie wahają się na ten koniec wrócić śmiało do starych sposobów drukarskich, do papieru otrzymanego z formy, do ręcznej prassy, do czcionek odlanych na starą, poczciwą modłę — z tą tylko różnicą, że to, co niegdyś było zwyczajem, dziś jest wyjątkiem jedynie.

Bo też dawniej czytanie, a zatem i książki, były przywilejem niewielkiej liczby wybranych—a i samych pisarzów była mała liczba; drukarze zatem mogli się ruszać powoli. Dziś wszyscy czytają—i liczba autorów coraz-to wzrasta w stosunku do czytelników. Dobra to rzecz zapewne, chociaż niebezpieczna, bo dla tych, co pragną czytać, wszystko jest dobre. Nie pamiętam już dzisiaj, w jakim to zdaniu sprawy i jakiego towarzystwa literackiego, czytałem wzmiankę następną: W jakiejś skromnej wiosce była skromniejsza jeszcze gmina biblioteka, złożona z *dwudziestu pięciu tomów!* i jakich-że tomów: *Kalendarzy, Dykcyonarzy, Traktatów naukowych i agronomicznych*, starych, jak powiadają, niestrawnych, zabijających. Otóż: czy dacie wiarę temu? książki te nie wychodziły z rąk czytelników gorliwych. Czytano je, wertowano, wdzierano sobie; były one rozkoszą zgromadzonych na wieczór rodzin i dobrodziejstwem na długie zimowe wieczory. Na szczęście, książki te były nudne tylko, a mogły być niebezpiecznymi, gdyby złe były. Bóg sam wie tylko, jak fałszywe wyobrażenia, jak szkodliwe następstwa pociągają za sobą zaraźliwe książki—owe-to mniemane studia obyczajowe, w formie obrzydliwych romansów i powieści. Niemówiąc tu o niemem jeno o samej literaturze, czyż nie lepszą byłaby w końcu zupełna ciemnota, niżli tego rodzaju, fałszywa i zgubna cywilizacya? Ale obok złego jest zaraz dobre, obok choroby—lekarstwo. Byłoby to szaleństwem chcieć powstrzymać ten prąd, który unosi całe pokolenia, z którym pędzi kraj cały; potrzeba więc kierować biegiem tego prądu, rozrzucać pełnymi rękami dobre, poczciwe książki: historye, podróże, nauki przyrodzone, gospodarstwo domowe i t. d., a bądźcie pewni, że czytelnicy się znajdą.

Aby dać miarę, jak massy czytelników są uległymi w przyjmowaniu poczciwego i rozumnego kierunku, przytoczę tu jeden jeszcze przykład. W r. 1862 dwaj czy trzej drukarze paryżcy powzięli myśl użytkowania zbywającego czasu od zmniejszonej chwilowo roboty, wydając na świat w małych tomikach, i po cenie pięciu soldów za tomik, dzieła klasycznej wartości, które są dzisiaj własnością publiczną. W krótkim bardzo czasie powodzenie tej publikacyi przeszło wszelkie oczekiwania drukarzy; edycje wyczerpywały się prawie w oka mgnieniu i pierwotni wydawcy musieli utworzyć spółkę i rozszerzyć działalność stosownie do objawiającej się potrzeby. Dziś tak zwana *Biblioteka Narodowa* jest w całej pełni swego powodzenia i puszcza w obieg rocznie 250,000 egzemplarzy. I jakimże to autorom winna jest to niesłychane powodzenie? oto: Bossuet'owi, Molierowi, Pascal'owi i t. d. i tłumaczeniom starożytnych pisarzy: Xenofonta, Demostenesa, Juwenalisa i nowożytnych: Shakespeare'a, Byrona, Schillera i t. d. Pierwszem drukowanym dziełem była *Historja Karola XII* przez Voltaire'a. Dziś *Karol XII* liczy nieskończoną liczbę edycji i liczbę odbitych i sprzedanych egzemplarzy niesłychaną!

Jednym słowem, i aby nie wychodzić z granic swojego przedmiotu, żyjemy w czasach, kiedy we względzie książek żywo odczuwają ludzie potrzebę, nieznaną w przeszłości i której muszą gwałtem zadośćczynić. W naszej epoce należy wydawać szybko, wiele i tanio. Aby zdać sobie dokładny rachunek z tego stanu rzeczy, potrzeba pokazać co tu naprzykład w Paryżu przedstawia włożony kapitał, użytą pracę i dokonaną produkcję w wielkiem przedsiębiorstwie wydawniczym? Oto biorę za przykład jeden z najczynniejszych w tym względzie zakładów. Sprzedaż jego roczna wynosi przeszło 15,000,000 fr.; ma on 1,300,000 fr. kosztów eksploatacyi, a wyprawa rokrocznie do

200,000 pak, we wszystkie strony świata; 500 przeszło osób użytych jest w tej wielkiej jego księgarni, jako też w pracowni zszywania i obwijania (*cartonnage*); oprócz tego blisko 3,000 osób żyje z pracy zamawianej przez ten zakład.

Teraz z katalogiem Wystawy Powszechnej w ręku zobaczymy: jakie zajęli miejsce i jakie oddali usługi oświeceniu—księgarze-wydawcy francuzcy? Przegląd ten da nam może wskazówkę: dlaczego język francuzki i jego pisarze używają tak wielkiej popularności na świecie całym? Zaczniemy nasz przegląd od zakładu Hachette'a, którego wystawa w galerji sztuk pięknych wyzwolonych i liczbą okazów i smakiem układu ściągają największą uwagę.

Można bez przesady powiedzieć, że każdy wiek i każdy rodzaj czytelników mógł tu znaleźć zaspokojenie, bo wszystkie gałęzie ukształcenia umysłowego i literatury miały tu swoich godnych przedstawicieli. Dla dzieci uczęszczających do ochron i przytułków, były tam obrazki, tablice i karty, przeznaczone do *nauczania za pomocą wzroku*; dla chodzących do szkół, książki elementarne, kursa wychowania i instrukcyi początkowej, w których pani Pape-Carpentierowa streściła naukę długiego swego doświadczenia; dla uczniów Lyceum tłumaczenia międzywierszowe i zbiór złożony ze 100 przynajmniej tomików starożytnych klasyków, zbiór pięknie oprawny, wielkiej czystości textu, opatrzonego doskonałym francuzkim komentarzem; dla nauczycieli nakoniec uczone wydania pisarzy greckich i łacińskich, prawdziwe wydania *Variorum*, znakomite równie czystością textów jak uczone wariantami i komentarzami, w które są zaopatrzone. Zbiór ten zamykają nakoniec dykcyonarze wszelkiego rodzaju, języków umarłych i żyjących, w liczbie których i polskie się też znajdują.

Zaraz obok nauki znajduje się rozrywka: Albumy *Magazyn dla małych dzieci*, *Biblioteka różowa* ilustrowana, *Dziennik dla młodzieży*, którego prenumerata bajecznej liczby dosięga. Obok nauki poważnej i surowej była tam nauka traktowana przystępnie i łatwo przez wprawnych pisarzy i rysowników w *Bibliotece cudów natury* (*Bibliothèque des merveilles*), a nakoniec wydania zbyt proste, jakoto: *Don Quichotte, Roland Szalony, Dante, La Fontaine* i t. d., do których ilustracye wykonał biegły i nieznużony rysownik Gustaw Doré, i dzieła wydane z całym przepychem: *Indye Radzów, Rzym* przez Fr. Weya, *Historja roślin Baillona, Historja Ceramiki i sprzętów Jacquemarta, Historja ubiorów Quicherat'a*, a wreszcie wielka liczba książek rozpowszechniających wiedzę i popularnych edycji.

Nie zapomnijmy tu powiedzieć choć słówka o tej znakomitej kolekcji podróży, znanej pod tytułem: *Le tour du monde*. Kolekcya ta, jedyna w swoim rodzaju, zamyka w sobie jakby historję powszechną podróży. Niema odkrycia geograficznego, któregoś tam nie znalazł, niema takiego wędrowca, któregoś imię nie było zapisane na jej kartach. Ze swemi przeszło 400 mappami i 10,000 rycin, robionych albo z natury, albo z fotografii przez najbieglejszych artystów, kolekcya ta stanowi dzieło wielkiej piękności i niezaprzeczonego pożytku.

Pomiędzy dziełami historycznymi, których liczba była wielka, wspomnijmy p. Guizota: *Historję Francyi opowiedzianą swym wnukom*, w 5 tomach, których edycya doszła do wysokiej liczby sprzedanych 32,000 egzemplarzy; *Historję Angielską*, tegoż pisarza; *Rzymską* p. Wiktora Duruy, i nakoniec p. Baudrillarta: *Historję zbytku prywatnego i publicznego w starożytności i w nowszych czasach*.

Następnie zbiór pisarzy nowożytnych, zaczynając od Wiktora Hugo aż do Taine'a i About'a wraz z tłumaczeniami z cudzoziemskich pisarzy, objętych w Bibliotece najlepszych cudzoziemskich powieści.

Wszystko to byłoby już dostatecznym do utrzymania sławy i znaczenia wielkiego zakładu, ale nie tu koniec jego działalności. Zarzucano, i nie bez słuszności, Francuzom słabą ich stronę we względzie geografii. Pobudzeni sprawiedliwością zarzutu i miłością własną, Francuzi od lat kilku rzucili się z właściwym sobie zapalem na to pole, dotąd jakby odłogiem leżące, a zakład Hachette'a niemało się przyczynił swojemi nakładami do utrzymania tego

popędu na właściwej i praktycznej drodze. W li-  
czbie dzieł już wydanych wskażemy tu złożony na  
wystawie ogromny *Atlas powszechny geografii nowo-  
żytnej, starożytnej i wieków średnich*. Sto mapp ogło-  
szono dotąd, a każda z nich jest wzorem wykończe-  
nia jasności i dokładności sztycharskiej. Po tym  
atlasie należy zaraz wspomnieć *Nową geografie p-  
owszechną — Ziemi i ludzie* — przez Elizeusza Reclus'a.  
Dotąd trzy tomy wyszły na świat — muszą już wam  
być znane — i miejmy nadzieję, że ta, znakomita ja-  
snością i wykładem dostępnym dla wszystkich, pra-  
ca ukończoną zostanie przez autora jednocześnie  
z chwilą, w której skończy się jego wygnanie z oj-  
czyzny.

(Dokończenie nastąpi).

## RUCH MUZYCZNY.

Rozbiór „Polyeukta“, nowej opery Gounoda. — O koncercie Stu-  
denckim i o „Lucyi“.

Każde nowe dzieło twórcy „Fausta“ budzi zawsze  
niezwykle zaciekawienie i interes w świecie muzy-  
kalnym; wszyscy bowiem z niewypowiedzianą cier-  
pliwością i wiarą wyczekują... arcydzieła. Co dzi-  
wna, że i przed zjawieniem się „Fausta“ podobne  
zaufanie obudzała zawsze każda nowa opera Gou-  
nod'a. Jest-bo w tym wiele genialnym mistrzu  
jakieś święte źródło natchnienia, do którego wpra-  
wdzie rzadko on się dostać może, tak jest przykry-  
te pewną warstwą, że tak powiem, dystygowanej  
konwencyonalności — ale też gdy się do niego do-  
staje, stwarza rzeczy wspaniałe i za serce chwyt-  
ające odrazu!

Nic dziwnego jednak, że w stworzeniu *oper*, sto-  
sunkowo tak rzadko natrafia Gounod na prawdzi-  
wy ton potężny i żywy; jego duch musi przebić się  
przez tysiączne przeszkody, w jego własnym leżą-  
ce usposobieniu, zanim go istotnie ożywi i poruszy  
scena. Nastroj religijny i głęboki jest głównym  
tłem jego twórczości, pewien przytem instynkt  
wielkości pomaga mu przy kreśleniu szerokich  
scen; lecz po większej części w duetach, solach,  
w malowaniu uczuć światowych etc. posługuje on  
się pewnym niepozabawionym elegancją, sensuali-  
zmem, który, niestety, podsuwa mu formy nieraz  
przez niego samego dziś już zużyte. Stąd, wyją-  
wszy wyjątkowo błogosławionej pamięci Fausta, —  
taka nierówność w Gounodowskiej twórczości;  
obok sceny, która wstrząsa cię do głębi, napotkasz  
chłodną robotę, silenie się, powtarzanie, częstokroć  
zaledwie kilka ustępów przez cały wieczór, zdoła-  
ją nas wznieść w idealne wyżyny. Tym sposobem  
upadła „Sapho“, „La Nonne Sanglante“, „Mireille“,  
i tyle innych; podobnyż los spotkał niedawno  
i „Cinq-Mars“, o którym nawet po przejrzeniu par-  
tycyi nie miałem zbyt wielkiej chęci rozpisywać  
się obszerniej. Publiczność jednak, która wie lub  
przeczuwa, jak trudno Gounod tworzy, ale zarazem  
jak wysoko się wznieść umie, zawsze, za każdą no-  
wą operą, się spodziewa, że mistrz, ukochawszy  
wyłącznie dlań sympatyczny text, potrafi tą sama  
miłością ku swemu dziełu i nas przejąć. Tak było  
i codo Polyeukta. Wiedzano oddawna, jak wy-  
jątkową sympatyę czuł mistrz dla tej postaci; wie-  
dziano, że z osobliwym zapalem pracował; oprócz  
tego opowiadano o samej partyturze ciekawe le-  
gendy. Dzieło to, znajdując się przez lat parę w ręk-  
kach pewnej angielskiej śpiewaczki, dla której  
główną rolę Pauliny Gounod przeznaczał, później  
po zmianie przyjaznych stosunków, z ciężkością  
z rąk jej wydobytem być mogło... Przedmiot,  
wzięty z epoki przesładowania Chrześcijan za okrut-

nego Decyusza (wiek 3-ci, przesładowanie znane  
w dziejach kościoła pod nazwiskiem 7-go), dał po-  
le Dyrekcyi Wielkiej Opery w Paryżu do rozwinię-  
cia wielkiego przepychu dekoracyi, strojów; balet  
pogański dawał publiczności wyborne i oryginal-  
ne divertissement; — przy końcu cyrk otwarty ilwy  
w klatkach gotowe rzucić się na modlące się ofia-  
ry, — o wszystkim tem mówiono wiele na długi  
czas przed pierwszym przedstawieniem, które mia-  
ło nareszcie miejsce d. 7 Października. Najpierwsi  
artyści wezwani zostali do ról głównych; panna  
Krauss zwłaszcza w roli Pauliny, ma być znako-  
mitą, lubo o jej głosie wyraża się krytyka, jako  
o cokolwiek już schodzącym z widowni.

Powodzenie dzieła było wogóle tak dalece lep-  
sze od kilku ostatnich oper Gounod'a, że Polyeukt  
zapewne dosyć długo utrzyma się na scenie. Przed-  
miot wzięty, jak wiadomo, z dramatu Corneille'a,  
dość ściśle postępuje z tokiem tegoż dramatu, wy-  
jąwszy zakończenie, które autorowie libretta (Jules  
Barbier i Michel Carré) słusznie zmienili, ojciec  
bowiem Pauliny nie nawraca się na chrześcijaństwo,  
ale, wierny swemu dzielnemu charakterowi, skazuje  
córkę i zięcia na śmierć. Oprócz tego Nearchus,  
przyjaciel Polyeukta, nie ginie za sceną, jak według  
klassycznych przepisów chciał mieć Corneille, ale  
ugodzony jest przez kapłana w tejsze chwili, gdy  
świętokradką dłonią obala bóstwa pogańskie.  
Tym sposobem scena ta w świątyni, zupełnie opu-  
szczona w dramacie, staje się kulminacyjnym pun-  
ktem w operze.

Uwertyury niema, jak zwykle u Gounoda, tylko krótka  
przegrywka, ale... nieladna. Przedmiotem jej głów-  
nym są melodye lekkie i trochę trywialne, które  
usłyszymy później w świecie pogańskim; krótki  
chórak tę przegrywkę pogańską zakończy, lecz jej  
nie zwycięża. Spodziewaliśmy się po Gounodzie  
większej powagi nastroju, i większego uwydatnie-  
nia tryumfu chrześcijańskiej idei. Chórak służeb-  
nych Pauliny, otwierający akt 1-szy, ślicznego jest  
nastroju. Paulina (małżonka Polyeukta) przerywa  
ten chórak opowiadaniem snu, w którym widziała  
męża zabitego; opowiadanie to, bardzo krótkie, ma  
ten przymiot, że stanowi wyborny kontrast ze spo-  
kojem chóru, który po nim znów powraca, ale  
znów ma tę wadę, szczególniej jak na debiut ope-  
ry, że jest zanadto krzykliwym. Charakter wprost  
ponury i przerażający nierównie stosowniej-by od-  
malował sytuację. Paulina bowiem ma dopiero  
przecucia, ale w gruncie był to sen tylko, który  
nawet w jej opowiadaniu nie powinien jaskrawych  
barw rzeczywistości przybierać. Nierównie lepiej  
maluje nam uczucia niespokojne Pauliny bolesna  
przegrywka, która towarzyszy jej wyjściu, gdy po  
odśpiewaniu ładnego duetu z mężem (w którym nie  
mogła go nakłonić, by jej przecuciom uwierzył  
i z domu nie wychodził), znękana, oddaje się bo-  
leści.

Marsz tryumfalny, towarzyszący przybyciu Se-  
wera, zwycięzcy Persów czy Scytów (rzecz dzieje  
się w Armenii), niezbyt jest oryginalny, ale dobry.  
Sewer, dawniejszy narzeczony Pauliny, dowiaduje  
się, że ona, ulegając woli ojca, zaślubiła innego —  
zład ładny kwartet, ale niedość wybitny jako me-  
lodya. Marsz powraca. Koniec aktu I-go.

Akt II-gi znów rozpoczyna się od ładnego chóru  
pogańskiego. Dalej Sewer śpiewa starannie  
napisaną Cavating, ale nie zachwyca nikogo. Pau-  
lina śpiewa modlitwę do Vesty, suchą i nudną (na  
3/8). Nareszcie idzie duet z Sewerem, którego  
wstępne recitativa i pierwsze Andante bardzo ład-  
ne; potem rozpoczyna się allegro również ładne,  
które z wielkim żalem słuchaczy, i trochę nie  
à propos przerywa Sewer, wzywając w uroczy-  
stych zaklęciach (przypominających trochę Kom-  
mandora z Don Juana, jak słusznie w jednej re-  
cenzyi zauważono) boginię Vestę na świadka da-  
wniejszych przysięg Pauliny. Ale cnotliwa Pau-

lina z łatwością ochładza ten niewczesny zapal,  
wystawiając, że czasy się zmieniły, że jest już dziś  
żoną innego, i jego kochać powinna; w tej ochłod-  
zonej sytuacji przychodzi drugie allegro nierów-  
nie mniej ładne niż pierwsze.

Druga odsłona tego aktu daje nam dwa arcydzie-  
ła. Pierwszem jest przesliczna barkarolla, którą  
śpiewa młody patrycyusz Sextus, drugą wzniosła  
modlitwa Chrześcijan, będąca dyalogiem między  
bassem solo i chórem. Scena chrztu Polyeukta jest  
ładna, ale już nie tak wzniosła, i wpada w końcu  
w *grandioso*, już zużyte, i daleko nawet piękniejsze  
w zakończeniu *Galli Gounod'a*.

Główną treść aktu 3-go stanowi balet. Wystę-  
pują tu po kolei Pan, Bellona, Venus, Bacchus w o-  
toczeniu stosownych grupp tanecznych i niezaw-  
sze stosownej muzyki. Najładniejszy jest wstęp  
i muzyka pasterska przy wejściu Pana; Venus zaś  
tańczy Poikę-Mazurkę, tak pospolitą, żeby się i...  
Ascher pod nią mógł popisac. Tarantella końcowa  
Bacchusa dość ma zycia. Potem idzie scena oba-  
lenia bóstw pogańskich piękna i ożywiona — świet-  
ny to Finał.

Dwa akty ostatnie są krótkie. Akt IV rozpoczy-  
na Polyeukt, śpiewając wyjęte z Corneilla *stances*:  
„Source délicieuse“ — bardzo to ładne i szlachetne.  
Duet z Pauliną jest oryginalnie pomysłany. Bojąc  
się uleść łzom ukochanej, która pragnie go odwieść  
od chrześcijaństwa, nowy katechumen chwyt-  
ta za najsilniejszą broń: czyta Ewangelię. Jakkol-  
wiek podobne ustępy o narodzeniu i męce Pańskiej  
dziwnie się wydają w *teatrze*, — wszakże przyznać  
trzeba, że muzyka ta jest przesliczna, szczególniej  
pastorale (*d dur*) przy opisie narodzin jest czaruj-  
ące swym wdziękiem. Trio z Sewerem, potem na-  
dejscie ojca, pomijam. Ojciec, wielkorządca Ar-  
menii, wyrokuje śmierć Polyeukta. Gdy w akcie  
ostatnim wyrok ma się już spełnić, Paulina łączy  
się z mężem, wołając: „Jestem chrześcijanką!“,  
i oboje idą na śmierć śpiewając ładne *Credo*. Scena  
kończąca, w której ma być widzianym cyrk i lwy,  
opuszcza się podobno w operze — co nie dozwala  
śpiewakom dania unisono *h* wysokiego, ale niezawo-  
dnie ratuje nas od zakończenia, krótkiego wpraw-  
dzie, ale trywialnie melodramatycznego.

Jakie ogólne wrażenie? Takie: opera dobra,  
wiele ustępów bardzo ładnych (po większej części  
zbiorowe ustępy); ale *genialnemi*, prócz cudnej Bar-  
karolli Sextusa, są głównie sceny religijne, któ-  
rych wystawienie w takiej ilości na scenie jest  
czemś rażącym, prawie profanacją. Polyeukt był-  
by ślicznym przedmiotem — do oratoriumu.

Przechodzę do spraw bieżących. Koncert „stu-  
dencki“ był przepełniony. Program bogaty jak  
zwykle (*za bogaty*, zważywszy numer przedostatni!)  
*Wybitną rzeczą*, oprócz znakomitych deklamacyj  
(Królikowski, Popiel, Deryng) była scena obłąka-  
nie z „Hamleta“ Thomas'a, przeslicznie odśpiewa-  
na przez panią Jakowicką — *nowością*, gra panny  
Anger na fortepianie, spokojna, szlachetna i po-  
prawna.

Pani Jakowicka w „Lucyi z Lammermooru“  
roztoczyła przed dość nienapełnioną salą prawdzi-  
we perły wokalne umiejętności — publiczność na  
nich się niedość umiała poznać. Oprócz pani J.  
wszystko nie szło jakoś dobrze tego wieczoru, do-  
piero w scenie grobowej pan Filleborn śpiewał, jak  
umie, szlachetnie i z uczuciem, a bez forsowania.  
Tradycya *śpiewu* na naszej scenie coraz bardziej,  
niestety! ginie, zwyczaj *wysilania* głosu coraz staje  
się powszechniejszym

Jan Kleczyński.

TREŚĆ. Dzieje piosnki, poezya, przez El...y. — Pogawędka. — Meleszkowie powieść, (dokończenie), przez Zbigniewa. — Nauka i wychowanie  
dziewcząt, II, (dalszy ciąg), przez Maryę Ilnicką. — Nowiny paryżkie. — Ruch muzyczny, (dokończenie), przez Jana Kleczyńskiego.

Warszawa. — Druk S. Orgelbranda Synów, ulica Bednarska Nr 20.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.

Дозволено Цензурою.  
Варшава, 7 Ноября 1878 года.